

## Pracownia portretowa Kamy Kuik na ulicy Fredry w Poznaniu O przestrzeni obrazów i spotkań – wspomnienie

Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? Nie jestem już w stanie dokładnie powiedzieć, przypuszczam, że na przełomie tysiąclecia, a gdybym miał wymyślić ten moment, skrzyknąłbym dawny krąg przyjaciół, którzy, nie umawiając się wcale, spotykali się wtedy tak często – w jednej z owych knajpek na poznańskim Starym Mieście, gdzie dzisiaj jest może bar sushi albo *Subway* i nic już nie przypomina ówczesnych magicznych labiryntów w splątanych zaułkach. Tak więc pewnego pięknego wieczoru, kiedy po zamknięciu lokali nikomu nie chce się wracać do domu, owa grupa przyjaciół trafi być może do czyjegoś mieszkania, gdzieś na Kramarskiej, Szewskiej, na Chwaliszewie, Rybakach czy Kwiatowej, no i „odtąd” – można by ciągnąć opowieść – „odtąd” się znamy.

Miejsce też więc pozostanie mgliste, ale wyraźnie pamiętam temat naszych pierwszych rozmów czy może raczej przypominam sobie dojmujące wrażenie, iż nie były to rozmowy na jakiś „temat”. Bo dla Kamy sztuka to nie „temat”, sztuka żyje w jej obrazach, poprzez jej obrazy. Niewielu napotkałem ludzi z tak intensywnym zmysłem twórczym.

W latach 2005–2010 Kama prowadziła na ulicy Fredry w centrum Poznania Pracownię Spotkań Portretowych. Zapewne nie każdy bez zastanowienia odczyta ukryty tu zamysł – swego rodzaju hołd dla Witkacego, jednego z największych geniuszy dwudziestowiecznej Europy, który przez pewien czas dla zarobku utrzymywał swą słynną Firmę Portretową. Kama nie stylizuje się jednak na postrach mieszczaństwa, nie zamierza demaskować ignorancji kołtuńskich miłośników sztuki, nie oddaje się też eksperymentom z użyciem chloroformu czy kokainy. Wizjoner Witkacy, który w 1939 roku uciekł przed Niemcami na wschód, a 18 września w ukraińskich dzisiaj Jeziorach na wieść o sowieckiej agresji odebrał sobie życie, zasługuje na podziw bez pokusy naśladownictwa. Ukryty sens miało też usytuowanie owej reminiscencji z Witkacego przy ulicy noszącej imię wielkiego prześmiewcy i ironisty, Aleksandra Fredry (1793–1876).

Atelier Kamy wykraczało daleko poza obszar zwykłego miejsca pracy. Nawet ci najbardziej zaganiani w wirze codzienności zatrzymywali się czasem na moment pod arkadami i przez kilka chwil przyglądali scenerii wnętrza – Kama przy sztalugach, zastygły w bezruchu „model”, momenty odprężenia – gest, słowo, uśmiech – które przełamywały zagęszczoną koncentrację, by zaraz do niej powrócić. Komuś z zewnątrz objawiał się niemy film – powstawanie obrazu.

Kiedy przebywało się w pracowni, czas niepostrzeżenie ześlizgiwał się na inne tory. „Modele” – podobnie jak goście – siadali w fotelu o karmelowym obiciu, z plecionką z rafii pod poręczami. Fakturę tego ozdobnika czuję jeszcze pod koniuszkami palców... A portrety na ścianach dawały poczucie przebywania w dobrze znanym towarzystwie, tym bardziej że każdy z gości rozpoznawał na nich kilkoro przyjaciół. Kiedy Kama opowiadała o powstawaniu poszczególnych obrazów, o rozmowach z ludźmi i odkrywaniu rysów pojedynczych twarzy, stawało się jasne, że widzi w portrecie coś więcej niż po prostu gatunek malarstwa czy rzemiosło. Twarze są dla niej początkiem dialogu.

Obrazy były też na początku projektu, który Kama realizowała z oszołamiąjącą pasją. Wszystko zaczęło się od filmu – „Niebo nad Berlinem” Wima Wendersa stało się inspiracją do performansu. W trakcie pracy pomysł zaczął się rozgałęziać w wielu kierunkach – efektem była „Berlinada – Młodych Poznańskich Artystów” z 2007 roku, prezentowana przez siedem dni od

wczesnego wieczora do północy w ramach cyklu imprez przywołujących na przełaj przez czasy rozmaite elementy berlińskiego życia – po legendarnych *Comedian Harmonists* czy filmy Friedricha Murnaua. Od czasu ożywionych kontaktów berlińsko-poznańskich, zainicjowanych przez grupę polskich ekspresjonistów *Bunt* krótko po pierwszej wojnie światowej, artystyczny Berlin nigdy potem nie zaistniał w Poznaniu tak intensywnie jak owego kwietniowego tygodnia 2007 roku.

Tego samego roku Kama ruszyła w podróż i byłoby wielce nieadekwatne określić ją jako „pełną przeżyć”. Szczęśliwy zbieg okoliczności (a może dwaj aniołowie, kto to wie...), sprawił, że zaproszono ją do udziału w plenerze malarstwa pejzażowego w rosyjskim Kotłasie, liczącym ok. 60 tysięcy mieszkańców mieście obwodu archangielskiego. Perspektywa wyjazdu napełniała ją radością – po miesiącach gorączkowych przygotowań do „Berlinady” nie tęskniła za niczym innym jak tylko chwilą spokoju – zarazem była pełna obaw, czy jako malarka portretów znajdzie tam dla siebie miejsce.

Nocnym pociągiem ruszyła do Sankt Petersburga, a po postoju tam miała kontynuować podróż do Kotłasu. Wieczorem pomogłem jej odstawić bagaż. Taksówką pojechaliśmy na dworzec. I pamiętam jeszcze kilka chwil na peronie, wjeżdżający pociąg, pożegnanie i jej nadzieję, że to słuszna decyzja z tą podróżą.

Od pierwszego dnia poczuła się jak w domu. Oczarowali ją nowo poznani ludzie, opowiadała potem o serdecznej atmosferze wśród artystów, zachwycającej ją przyrodzie, ciszy wokół miejsca zakwaterowania, ale też o wyczuwalnej w mieście melancholii, o ludzkich losach, o których usłyszała, a w jej opowieściach z pewnością nie pobrzmiwała idealizacja „rosyjskiej duszy”, lecz raczej wiedza o tamtej codzienności i potrzebie wielkiego wysiłku, jeśli na przekór wszelkim przeciwnościom chce się pozostać wiernym przeświadczeniu, że malowanie obrazów jest właściwym sposobem, by z tą codziennością obcować.

Obawy co do motywów rozproszyły się same. Malarze pejzażowi koncentrowali się na krajobrazie, a Kama portretowała ich przy pracy lub podczas wspólnie spędzanych wieczorów. Na zakończenie zorganizowano wystawę poplenerową, a portrety Kamy były jak podwójne lustro. Na obrazach widniały twarze, w których odbija się pejzaż.

Gdy zajrzeć do niemieckojęzycznej Wikipedii pod hasło Kotłas, można przeczytać, iż było to miejsce deportacji „tak zwanych kułaków”, a także punkt etapowy zsyłki „innych więźniów”. W polskim haśle znajdzie się nieco więcej informacji, gdyż pod określeniem „inni więźniowie” kryją się Polacy, aresztowani na ziemiach pod sowiecką okupacją już jesienią 1939 roku, a masowo od zimy 1939/1940, i pod sfingowanym zarzutem „antyradzieckiej propagandy” deportowani na Syberię i do Kazachstanu. Okresowo w Kotłasie przebywało kilka tysięcy Polaków. Wielu umierało tam w potwornych warunkach z głodu i chorób, wśród nich Eugeniusz Bodo (właśc. Bogdan Eugène Junod, 1899–1943), gwiazda międzywojennego kina, uzdolniony aktor i tancerz, reżyser i scenarzysta (na znanych zdjęciach widnieje w pozie dandysa ze swym dogiem Sambo) – a także malarz i rzeźbiarz Stefan Dauksza (1895–1941), który jako oficer Wojska Polskiego dostał się do sowieckiej niewoli.

Oczywiście Kama знаła tę historię i wyczuwała, że przeszłość jest zapisana w krajobrazie, który tworzył tak idylliczne refugium dla artystów. Wspólnie z rosyjskimi malarzami odwiedziła teren dawnego obozu, zaszła do miejsc, gdzie widać mogiły lub zaledwie można się ich domyślać w

gąszczu dzikich zarośli. Dopiero w kilka lat później w wyniku oficjalnej lokalnej inicjatywy pojawiła się tu między innymi tablica poświęcona pamięci Eugeniusza Bodo.

Wrażenia stamtąd miały głębokie znaczenie, Kotłas naznaczony był historią, której brutalna siła pchnęła Witkacego do samobójstwa. Teraz wiedza ta łączyła się ze wspomnieniem wspólnie spędzonych dni, rozmów, obrazów, ze zrodzonymi tam przyjaźniami – tak więc lato 2007 roku zapoczątkowało nie tylko kolejne podróże do miasta. Kama poznała też i sportretowała dwóch byłych więźniów obozu w Kotłasie. Byli to Rosjanin Michał Pusyriew i mieszkający później na Białorusi Polak, Michał Zołotar, a spotkania z nimi uzmysłowiły dotkliwie, jak słabo broni się koncepcja sytuująca sztukę na autonomicznym obszarze, niemającym rzekomo nic wspólnego z rzeczywistością. Każdy krajobraz jest pamięcią, bo każdy krajobraz jest miejscem dziania się historii. Najpiękniejsza cisza przyrody kryje w sobie straszliwe prawdy przeszłości – a ich pamiętanie może utarować drogę do terażniejszości, drogę do innych ludzi.

Myśl o kreowaniu okazji do spotkań była zacznem dwu kolejnych projektów zainicjowanych, zorganizowanych i zrealizowanych przez Kamę. Nazwała je „Portret Ulicy Fredry” i „Urodziny Ulicy”. Przygotowując „Portret Ulicy”, nawiązała kontakt z pobliskimi mieszkańcami, właścicielami sklepów i pracującymi tam ludźmi. I malowała ich portrety. W ten sposób pani ze spożywczego naprzeciwko – albo ta z butiku dwa domy dalej – mogła przez jakiś czas, idąc rankiem do pracy, pod arkadami podziwiać swój wizerunek. Przed wernisażem tej ulicznej wystawy na chodniku stanęły stoły i krzesła, przyjaciele i znajomi przynieśli jadło i trunki, i na kilka popołudniowych i wieczornych godzin ten skrawek ulicy przeistoczył się w całkiem inne miejsce. Czegoś takiego na Fredry jeszcze nie było. Obrazy Kamy rzuciły nowe światło na obszar pozornie dobrze znany.

Podobna koncepcja legła u podstaw „Urodzin ulicy”, organizowanych przez Kamę w sumie czterokrotnie (2007, 2008, 2009, 2010). Był to też zamysł stworzenia alternatywy wobec obchodzonych w Poznaniu z niejaką pompą „Imienin ulicy świętego Marcina”, biegnącej równolegle do ul. Fredry szerokiej arterii, zamieniającej się 11 listopada w równie wielki co ogłuszający zgiełkiem i nie do zignorowania jarmark, głównie zresztą kulinarny. „Urodziny” organizowane przez Kamę stały się letnim (akustycznie subtelniejszym) kontrapunktem i zarazem hołdem dla urodzonego 20 czerwca 1793 roku komediopisarza, któremu impreza ta z pewnością by się spodobała.

Kiedy dzisiaj tramwaje skracają koło „okrągłaka” – zapewne najbardziej osobiwej poznańskiej budowli okresu Peerelu – w ulicę Mielżyńskiego, wchodzą w zakręt z tym samym piskiem i przejeżdżają z łoskotem przez zwrotnice tak samo jak przed siedmiu, ośmiu, dziewięciu laty, tyle tylko że drzwi pod arkadami nie różnią się już niczym od innych. Spuszczone od środka żaluzje. Na szybach nie ma zdjęć ani pocztówek czy wycinków z gazet. Spojrzenie przez szpary w żaluzjach zgaduje pustą przestrzeń. Dzisiaj Kama działa na Starym Mieście, na Ślusarskiej prowadzi swoją Portreciarnię, zapisuje twarze i swoistość charakterów, oddaje głos barwom. Kiedy jednak na tropie wspomnień piszę te słowa, uświadamiam sobie, jak bardzo brakuje mi tamtych drzwi z ulicy Fredry, przez które wprost z codziennej krzątaniny wchodziło się w inny świat.

***Lothar Quinkenstein***

*Przełożyła z języka niemieckiego: Ewa Czerwiakowski*